

FILM NA PODSTAWIE POWIEŚCI W KINACH

M.L. STEDMAN
ŚWIATŁO
MIĘDZY
OCEANAMI

27 kwietnia 1926

W dniu, kiedy zdarzył się cud, Isabel klęczała na skraju klifu, modląc się nad małym krzyżem skleconym z drewna, które fale wyrzuciły na brzeg. Wysoko nad jej głową, na niebie tak błękitnym, jak widoczne w dole wody oceanu, dryfowała samotna tłusta chmura. Kobieta spryskała mogiłę wodą i uklepała ziemię wokół właśnie zasadzonego krzewu rozmarynu.

— *...i nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego*
— szepnęła.

Przez moment miała wrażenie, że słyszy płacz dziecka. Natychmiast odegnała od siebie tę niedorzeczną myśl i skupiła się na stadzie wielorybów, które płynęły w stronę wybrzeża, by w cieplejszych wodach wydać na świat młode. Ich masywne ogony pojawiały się i znikwały pod wodą niczym igły w błękitnym gobelinie. Znowu usłyszała płacz dziecka, tym razem nieco głośniejszy. To niemożliwe, pomyślała.

Przed nią, aż po horyzont i dalej, do Afryki, ciągnął się ocean. Tu wody Oceanu Indyjskiego wpływały do Oceanu

Południowego*, tworząc widoczny w dole bezkresny dywan. W dni takie jak ten miała wrażenie, że mogłaby przejść po nim, nie mocząc stóp, aż do Madagaskaru. Z drugiej strony wyspy niespokojne wody ciągnęły się aż do wybrzeży Australii, odległych o prawie sto mil. Niedaleko brzegu, pod powierzchnią, czaił się wysoki łańcuch zdradzieckich podwodnych gór, które wyrastały z dna niczym ogromne połamane zęby, czyhające na każdy niewinny statek płynący do upragnionego portu.

By zapobiec tragediom, na wyspie Janus Rock wybudowano latarnię morską, której światło ostrzegało przed niebezpieczeństwem z odległości trzydziestu mil. Co noc powietrze wypełniał jej monotony szum, kiedy bezstronny w swych osądach snop światła obracał się to w jedną, to w drugą stronę, nie obwiniając skał, nie lękając się fal, a jeśli trzeba było, przynosząc wybawienie.

Płacz nie ustawał. Isabel usłyszała szcęk otwieranych drzwi i na balkonie pojawiła się smukła sylwetka Toma, który obserwował wyspę przez lornetkę.

— Izzy! — zawołał. — Łódź! — Wskazał zatoczkę. — Na plaży jest łódź!

Zniknął i chwilę później pojawił się w drzwiach na dole.

— Wygląda na to, że ktoś w niej jest! — krzyknął.

Isabel najszybciej jak mogła podbiegła do męża i razem pokonali stromą, wydeptaną ścieżkę prowadzącą w dół, do niewielkiej plaży.

* W Australii Ocean Indyjski pomiędzy równoleżnikiem 60°S a południowym wybrzeżem tego kontynentu jest uważany za część Oceanu Południowego, który zgodnie z ustaleniami Międzynarodowej Organizacji Hydrologicznej rozciąga się tylko na południe od 60°S.

— To rzeczywiście łośdź — stwierdził Tom. — I... jasna cholera! W őrodku jest jakiś mężczyzna, ale... — Mężczyzna ani drgnął. Na wpiół leżał, na wpiół siedział oparty o ławkę, jednak płacz nie ustawał. Tom podszedł do łodki i sprbiował zbudzić nieznanajomego, raz za razem zerkając na dziób, skąd dobiegło kwilenie. Kiedy się wyprostował, trzymał w ramionach zawiniątko: maleńkie płaczące niemowlę, zawinięte w miękki damski sweter w kolorze lawendy.

— Jasna cholera! — zaklął. — Jasna cholera, Izzy. To...

— Dziecko! Boże Wszchemogący! Tom! No już, daj mi je!

Oddał jej tobołek i jeszcze raz sprbiował obudzić nieznanajomego, ten jednak nie oddychał. Tom spojrział na Isabel, która przyglądała się maleńkiej istotce.

— On nie żyje, Izz. Co z dzieckiem? — spytał.

— Wygląda na zdrowe. Nie widzę żadnych siniaków ani skaleceń. Jest takie maleńkie! — dodała, wpatrując się w niemowlę i tuląc je do siebie. — No już, cichutko. Nic ci nie będzie, kruszyno. Tu będziesz bezpieczna.

Tom stał nieruchomo, patrząc na ciało mężczyzny. Zamykał oczy i otwierał je, jakby chciał się upewnić, że nie śni. Dziecko przestało płakać i chciwie łapało powietrze.

— Ten człowiek nie ma żadnych ran i nie wygląda na chorego. Nie mógł dryfować zbyt długo... Aż trudno uwierzyć. — Urwał. — Weź dziecko do domu, Izz, a ja przyniosę coś, żeby przykryć ciało.

— Ale, Tom...

— Nie damy rady wciągnąć go na górę. Lepiej zostawić go tu, do czasu, aż nadejdzie pomoc. Nie chcę, żeby dobrały się do niego ptaki czy muchy. W szopie jest stare płótno, powinno wystarczyć. — Głos miał spokojny, ale jego dłonie i twarz

były zimne, kiedy ostre jesienne słońce przesłoniły cienie przeszłości.

* * *

Janus Rock to zielona wyspa o powierzchni sześciuset pięćdziesięciu akrów. Rosnąca tam trawa wystarczyła, by wykarmić niewielkie stado owiec i kóz oraz kilka kurczaków, a górna warstwa gleby okazała się na tyle urodzajna, że można było założyć ogródek warzywny. Jedynymi drzewami były bliźniacze sosny zasadzone na wyspie przez ludzi z Point Partageuse, którzy w 1889 roku, przeszło trzydzieści lat temu, zbudowali latarnię morską. Skupisko starych mogił było wszystkim, co pozostało po tragedii, gdy statek *Pride of Birmingham* w biały dzień rozbił się o chciwe skały. Po latach na podobnym statku o dumnej nazwie *Chance Brothers*, przybyło z Anglii światło latarni, cud współczesnej techniki, gwarantujący statkom bezpieczeństwo, bez względu na to, jak niegościnne i zwodnicze były wody, po których pływały.

Podwodne prądy wyrzucały na brzeg rozmaite rzeczy: szczątki rozbitych statków, skrzynie z herbatą, kości wielorybów. Rupiecie pojawiały się nagle, kiedy chciały i jak chciały. Do stojącej pośrodku wyspy latarni morskiej tuliła się chatka latarnika i budynki gospodarcze, niszczone od wiejących bezustannie gwałtownych wiatrów.

Isabel weszła do kuchni i z dzieckiem w ramionach usiadła przy starym drewnianym stole. Tom starannie wytarł buty i położył na ramieniu żony stwardniałą dłoń.

— Przykryłem biedaka. Jak tam dziecko?

— To dziewczynka — odparła z uśmiechem Isabel. — Wykapałam ją. Wygląda na zdrową.

Dziecko utkwiło w nim spojrzenie dużych oczu.

— Jak, do licha, udało jej się przeżyć? — zastanawiał się Tom.

— Dałam jej trochę mleka. — Popatrzyła na niemowlę. — Prawda, skarbie? — zagruchała czule. — Jest taka idealna, Tom — dodała, całując małą. — Bóg jeden wie, przez co musiała przejść.

Tom wyciągnął z sosnowej szafki butelkę brandy, wlał do szklanki niewielką ilość i wychylił duszkiem. Usiadł obok żony, obserwując tańczące na jej twarzy słoneczne refleksy, kiedy pochylała się nad dzieckiem. Niemowlę wodziło za nią wzrokiem, jakby bało się, że jeśli choć na chwilę straci ją z oczu, Isabel zniknie.

— Maleństwo — szepnęła kobieta — biedne, biedne maleństwo. — Niemowlę tuliło się do jej piersi. Tom wyczuł w głosie żony z trudem powstrzymywane łzy. Wróciły wspomnienia, które niczym duchy zawisły w powietrzu.

— Chyba cię polubiła — zauważył. — Patrząc na nią, zastanawiam się, jak by to było... — ciągnął, jakby mówił do siebie. — To znaczy... nie chciałem... — dodał pospiesznie. — Chodzi o to, że wyglądasz, jakbyś została do tego stworzona. — Mówiąc to, pogłaskał jej policzek.

Isabel podniosła wzrok i spojrzała na męża.

— Wiem, kochanie. Wiem, co miałeś na myśli. Czuję to samo.

Otoczył ją ramieniem. Pachniał brandy.

— Och, Tom, dzięki Bogu, że w porę ją znaleźliśmy.

Tom pocałował Isabel i musnął ustami czoło dziecka. Siedzieli tak przez chwilę, aż niemowlę zaczęło się wiercić, wyciągając ku nim małą piąstkę.

W końcu Tom dźwignął się od stołu.

— Muszę wysłać sygnał. Powiadomię o łodzi, niech przysła kogoś po ciało i pannę Mazgajską.

— Jeszcze nie! — zaprotestowała Isabel, dotykając paluszków dziecka. — To znaczy... nie musisz robić tego teraz. Temu biedakowi to i tak nie robi różnicy. A maleństwo dość już ma chyba łodzi, przynajmniej na jakiś czas. Zaczekaj. Daj jej odetchnąć.

— Miną godziny, zanim tu dotrą. Nic jej nie będzie. Zobacz, już się uspokoiła.

— Zaczekajmy. Przecież to i tak nic nie zmieni.

— Muszę zapisać wszystko w dzienniku. Wiesz przecież, że powinienem od razu zgłaszać podobne wypadki. — Rzeczywiście, obowiązkiem Toma było zapisywanie wszelkich ważnych wydarzeń, które miały miejsce na wyspie albo w jej pobliżu, począwszy od przepływających statków i pogody, a na problemach ze sprzętem skończywszy.

— Zaczekaj z tym do rana, dobrze?

— A jeśli to łódź ze statku?

— To nie jest szalupa ratunkowa — zauważyła Isabel.

— W takim razie dziecko ma matkę, która czeka na nie gdzieś na brzegu i rwie włosy z głowy. Jak byś się czuła, gdyby chodziło o twoje dziecko?

— Widziałeś sweter. Matka na pewno wypadła za burtę i utonęła.

— Kochanie, nie wiemy nic o jej matce. Nie wiemy nawet, kim jest ten mężczyzna.

— To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, prawda? Niemowlęta nie oddalają się same od rodziców.

— Izzy, wszystko jest możliwe. Skąd mamy wiedzieć, co

tak naprawdę się wydarzyło?

— Czy kiedykolwiek słyszałeś o niemowlęciu dryfującym w łodzi na pełnym morzu, bez matki? — Mówiąc to, mocniej przytuliła dziecko do piersi.

— To poważna sprawa, Izz. Ten człowiek nie żyje.

— Ale dziecko żyje. Miej serce, Tom.

Coś w jej głosie sprawiło, że zamiast sprzeciwić się żonie, Tom rozważył jej prośbę. Może chce spędzić trochę czasu z dzieckiem? Może jest jej to winien? Isabel spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

— Ostatecznie... — mruknął, choć nie przyszło mu to łatwo — mogę zaczekać. Ale wyślę sygnał jutro z samego rana, zaraz po tym, jak wyłączę światła.

Isabel pocałowała go i delikatnie uściśniła jego ramię.

— Lepiej wróć do latarni. Właśnie wymieniałem lampę rtęciową — dodał.

Idąc ścieżką, usłyszał głos Isabel, która śpiewała: *Wiej wietrze południowy, południowy, południowy, wiej wietrze południowy nad pięknym, niebieskim morzem*. Dźwięki piosenki nie uspokoiły go jednak, gdy wchodząc po schodach do latarni, próbował zapomnieć o zaniedbaniu, jakiego dopuścił się na prośbę żony.

ROZDZIAŁ 1

16 grudnia 1918

— Tak, rozumiem — odparł Tom Sherbourne. Siedział w spartańsko urządzonej pokoju, dającym niewielkie wytchnienie od panującej na zewnątrz duchoty. Letni deszcz dzwonił o szyby, sprawiając, że ludzie na ulicach w pośpiechu szukali schronienia.

— Będzie naprawdę ciężko. — Mężczyzna po drugiej stronie biurka pochylił się do przodu, dla podkreślenia swoich słów. — To nie żarty. Nie chodzi o to, że zatoka Byron jest najgorszym przydziałem, ale chcę mieć pewność, że wiesz, na co się decydujesz. — Ubił kciukiem tytoń i zapalił fajkę. Podanie Toma było podobne do wielu innych z tamtego okresu: urodzony dwudziestego ósmego września 1893 roku, wojnę spędził na froncie, znał międzynarodowy kod sygnałowy i alfabet Morse'a, zdrowy i wysportowany, zwolniony z wojska z odznaczeniami. Zgodnie z panującymi zasadami, pierwszeństwo należało się byłym wojskowym.

— Na pewno nie... — Tom urwał i chwilę później zaczął od nowa. — Z całym szacunkiem, panie Coughlan, ale nie ma nic gorszego niż front zachodni.

Mężczyzna po raz kolejny utkwiał wzrok w dokumentach i spojrzał na Toma, jakby szukał czegoś w jego oczach, w twarzy.

— Tak, synu. Pewnie masz rację. — Znudzone głosem wyrecytował regułę: — Sam opłacasz przejazd. Jesteś zmiennikiem, więc nie masz urlopu. Stałym pracownikom przysługuje miesięczny urlop pod koniec każdego trzyletniego kontraktu. — Sięgnął po grube pióro i podpisał formularz. Przyłożył pieczętkę do nasączonej tuszem poduszeczki. — Witamy... — przybił pieczętkę w trzech miejscach — w Stowarzyszeniu Latarników.

Formularz opatrzone datą szesnastego grudnia 1918.

* * *

Sześć miesięcy spędzone w zatoce Byron u wybrzeży Nowej Południowej Walii, w towarzystwie dwóch latarników i ich rodzin, uświadomiło Tomowi, jak wygląda codzienne życie latarnika. Po zatoce Byron przyszedł czas na Maatsuyker, dziką wyspę na południe od Tasmanii, gdzie przez większą część roku padał deszcz, a wiejące w czasie sztormów porywiste wiatry ciskały kurczęta wprost w oszalałe fale.

Jako latarnik Tom Sherbourne ma mnóstwo czasu na rozmyślenia o wojnie. O twarzach i głosach swych towarzyszy, którzy w taki czy inny sposób uratowali mu życie. O ostatnich słowach konających żołnierzy i beładnej paplaninie, której nie mógł zrozumieć, a mimo to, słuchając jej, uparcie kiwał głową.

Nie był jednym z tych, którzy wlekli za sobą pourywane kończyny i których wnętrzości wylewały się z brzucha niczym oślizgłe węgorze. Trujący gaz nie zmienił jego płuc i mózgu w kleistą breję. A mimo to cierpiał, zmuszony do życia w ciele człowieka, który na wojnie dopuścił się potwornych

rzeczy. Wspomnienia tych wydarzeń wlokły się za nim niczym drugi cień.

Próbuje o tym nie myśleć. Wielokrotnie widział, co wspomnienia potrafią zrobić z człowiekiem. Dlatego wciąż żyje na krawędzi czegoś, czego sam nie potrafi nazwać. Kiedy śni o tamtych latach, Tom, którego widzi w snach, ten, który ma na rękach ludzką krew, jest zaledwie ośmioletnim chłopcem. W snach to właśnie on staje naprzeciwko mężczyzn uzbrojonych w strzelby i bagnety i bezradny patrzy na własne skarpety, wiedząc, że aby je podciągnąć, będzie musiał odłożyć broń, która i tak ciąży mu w rękach. Jakby tego było mało, nigdzie nie może odnaleźć matki.

Po przebudzeniu trafia do świata pełnego wiatru, fal, światła i mechanizmów, które podtrzymują płomień i obracają światło, utrzymując je w ciągłym ruchu.

Gdyby tylko mógł uciec wystarczająco daleko — z dala od ludzi i wspomnień — czas uleczyłby rany.

* * *

Niewielka wyspa Janus Rock, oddalona tysiące mil od zachodniego wybrzeża, była najdalszym miejscem, do którego trafił wychowany w Sydney Tom. Tamtejsza latarnia morska była ostatnim zakątkiem Australii, który widział, gdy w 1915 roku wypływał do Egiptu na pokładzie transportowca. Powietrze pachniało eukaliptusami jeszcze długo po tym, jak stracił z oczu wybrzeże Albany, a gdy przestał czuć tę woń, ogarnęła go niewypowiedziana tęsknota. Kilka godzin później, w najodleglejszym zakątku swej ojczyzny zobaczył światło — pięćosekundowe błyski, których widok towarzyszył mu w czasie wojennej zawieruchy niczym wspomnienie pożegnane

pocałunku. Kiedy w czerwcu 1920 roku dowiedział się o wolnej posadzie na wyspie Janus, miał wrażenie, że światło latarni go przyzywa.

Przycupnięta na krawędzi szelfu kontynentalnego Janus Rock cieszyła się złą sławą. I choć praca w tak trudnych warunkach oznaczała nieco wyższe zarobki, stare wygi mówiły, że nie jest warta tych pieniędzy, które i tak są niewielkie. Latarnik zastąpiony przez Toma, Trimble Docherty, wywołał prawdziwą burzę, kiedy zgłosił, że jego żona dawała znaki przepływającym statkom, wywieszając kolorowe flagi międzynarodowego kodu sygnałowego. To oburzyło ówczesne władze z dwóch powodów: po pierwsze, zastępca kierownika związku latarników zakazał używania flag na wyspie Janus, ponieważ przepływające statki, aby je zobaczyć, podpływały niebezpiecznie blisko brzegu, po drugie, żona Docherty'ego, która jakoby wywieszała flagi, od jakiegoś czasu nie żyła.

Nastąpiła gwałtowna wymiana korespondencji pomiędzy Fremantle i Melbourne. Zastępca kierownika z Fremantle przedstawił ludziom z centrali stanowisko obrony Docherty'ego i historię jego długoletniej służby, a ci postanowili przyjrzeć się pracy latarnika, kosztom i przestrzeganiu przez niego zasad. W końcu osiągnięto kompromis, zgodnie z którym Docherty poszedł na sześciomiesięczny przymusowy urlop, a jego miejsce na wyspie zajął Tom.

— W normalnych okolicznościach nie wysłalibyśmy tam jednej osoby, bo to odległe miejsce i rodzina może stanowić nie tylko oparcie, ale i wielką pomoc — zwrócił się naczelnik okręgu do Toma. — Ale ponieważ jest to sytuacja przejściowa... Wypłynie pan z Partageuse za dwa dni — dodał, składając podpis na półrocznym kontrakcie Toma.

* * *

Tom niewiele miał do załatwienia. Nie musiał się z nikim żegnać. Dwa dni później wszedł na trap z przerzuconym przez ramię workiem marynarskim. Parowiec o wdzięcznej nazwie *Prometheus* płynął niezmordowanie wzdłuż południowych wybrzeży Australii, zawijając do rozmaitych portów pomiędzy Sydney i Perth. Nieliczne kabiny zarezerwowane dla pasażerów podróżujących pierwszą klasą znajdowały się na górnym pokładzie, nieopodal dziobu. Płynący trzecią klasą Tom dzielił kabinę z podstarzałym marynarzem. „Pływam tą drogą od pięćdziesięciu lat. Nie miałoby czelności prosić mnie o pieniądze. Prawdziwy pech”, powiedział radośnie marynarz i skupił się na wielkiej butelce wysokoprocentowego rumu. Zmęczony wdychaniem oparów alkoholowych Tom za dnia przechadzał się po pokładzie, czekając na wieczorną partyjkę kart.

* * *

Nietrudno było się domyślić, kto spędził wojnę na froncie, a kto przesiedział ją w domu. Ludzie ciągnęli do swoich. Siedzenie pod pokładem budziło wspomnienia transportowców, które zabrały ich na Bliski Wschód, a później dalej, do Francji. Wystarczyło wejść na pokład, by instynktownie wyczuć, kto jest oficerem, a kto niższy rangą.

Tak jak na transportowcach ludzie szukali tu rozrywki, która ożywi atmosferę i umili podróż. Gra, w którą grali, również wydawała się znajoma. Wygrywał ten, kto pierwszy zdobył coś, co należało do pasażera pierwszej klasy. Nie chodziło jednak o byle jaką rzecz, ale o damskie figi. Wygrana rosła dwukrotnie, jeśli trofeum zostało zdjęte z właścicielki.

Prowodyr, wąsaty mężczyzna nazwiskiem McGowan, o palcach pożółkłych od papierosów Woodbine, powiedział, że rozmawiał z jednym ze stewardów o liście gości: wybór był dość ograniczony. W dziesięciu kajutach mieszkali: prawnik z żoną (lepiej trzymać się od nich z daleka), kilka podstarzałych par, dwie stare panny (brzmiało obiecująco) oraz podróżująca samotnie córka jakiegoś człowieka z wyższych sfer.

— Przypuszczam, że moglibyśmy wspiąć się z boku i wejść przez okno — powiedział. — Kto idzie ze mną?

To, że przedsięwzięcie było ryzykowne, nie zaskoczyło Toma. Odkąd wrócił, słyszał wiele podobnych opowieści o mężczyznach ryzykujących życie dla kaprysu, skakali przez szlabany na przejazdach kolejowych i rzucali się w środek wiru, żeby zobaczyć, czy dadzą radę wypłynąć na powierzchnię. Wielu z tych, którzy uniknęli śmierci, podświadomie wciąż jej szukało. Jednak ci ludzie sami sobie byli panami, a ich słowa tylko czczymi przechwałkami.

* * *

Kolejnej nocy, kiedy dręczące go koszmary stały się nie do wytrzymania, Tom postanowił uciec przed nimi na pokład. Była druga. O tej porze mógł spacerować, gdzie tylko chciał, więc przechadzał się, patrząc na widoczną na wodzie srebrzystą smugę księżycowego światła. Wszedł na górny pokład, chwytając się poręczy, i przez chwilę rozkoszował się łagodną bryzą, podziwiając usiane gwiazdami nocne niebo.

Kątem oka w iluminatorze jednej z kabin dostrzegł błysk. Najwidoczniej pasażerowie podróżujący pierwszą klasą również miewali problemy z zaśnięciem. Nagle obudził się w nim szósty zmysł — znajomy, nieokreślony instynkt, ostrzegający

go przed niebezpieczeństwem. Najciszej jak mógł podkraśl się do kabiny i zajrzał przez iluminator.

W skąym świetle zobaczył kobietę, która tuliła się do ściany, choć stojący przed nią mężczyzna nie zdążył jej nawet dotknąć. Jego twarz dzielił zaledwie cal od twarzy kobiety, oczy patrzyły na nią pożądliwie. Tom potrzebował chwili, by rozpoznać w nim mężczyznę spod pokładu, i przypomniał sobie nagrodę. Cholerni idioci. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

— Zostaw ją — powiedział, wchodząc do kabiny. Głos miał spokojny, ale stanowczy.

Mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć na intruza, i widząc Toma, uśmiechnął się.

— Chryste! Myślałem, że to steward! Możesz mi pomóc, właśnie...

— Powiedziałem, żebyś dał jej spokój. Wynoś się. Natychmiast.

— Jeszcze nie skończyłem. Właśnie zamierzałem sprawić pani wielką przyjemność. — Cuchnął alkoholem i papierosami.

Tom położył mu rękę na ramieniu i ścisnął tak mocno, że mężczyzna krzyknął. Był dobre sześć cali niższy od Toma, a mimo to zamierzył się na niego. Tom złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę. — Nazwisko i stopień!

— McKenzie. Szeregowy. CX-trzy-dwa-siedem-siedem. — Mężczyzna odruchowo podał swój numer identyfikacyjny.

— Szeregowy, proszę natychmiast przeprosić tę młodą damę, wrócić do kabiny i nie pokazywać się na pokładzie, dopóki nie zacumujemy. Zrozumiano?

— Tak jest! — McKenzie spojrział na dziewczynę. — Proszę wybaczyć, panienko. Nie chciałem panienki skrzywdzić.

Przerażona kobieta niemal niezauważalnie skinęła głową.

— A teraz wynocha! — warknął Tom.

Mężczyzna w jednej chwili stracił pewność siebie i powłócząc nogami, wyszedł z kajuty.

— Nic pani nie jest? — zwrócił się Tom do kobiety.

— Chyba... chyba nie.

— Skrzywdził panią?

— Właściwie... — mówiła bardziej do siebie niż do niego
— ...właściwie nawet mnie nie dotknął.

Tom przyjrzał się jej twarzy — szare oczy dziewczyny wydawały się nieco spokojniejsze. Jej ciemne włosy opadały miękkimi falami do połowy pleców, a pięści zaciskały się na kołnierzyku nocnej koszuli. Tom zdjął wiszący na haczyku szlafrok i zarzucił jej na ramiona.

— Dziękuję — odparła.

— Musiała się pani nieźle przestraszyć. Obawiam się, że niektórzy z nas odzwyczaili się od cywilizowanego towarzystwa.

Nie odpowiedziała.

— Ten człowiek nie będzie już pani niepokoił. — Postawił krzesło, które przewrócił, wchodząc do kabiny. — Może wnieść pani na niego skargę, ale obawiam się, że wojna wystarczająco namieszała mu w głowie.

Spojrzała na niego pytająco.

— Walka na froncie zmienia ludzi. Niektórzy przestają dostrzegać różnicę między dobrem a złem. — Ruszył do wyjścia, jednak w ostatniej chwili się odwrócił. — Ma pani wszelkie prawo, by wnieść przeciwko niemu oskarżenie, ale myślę, że i bez tego ma dość kłopotów. Tak jak mówiłem, wszystko zależy od pani. — Po tych słowach wyszedł z kajuty.

ROZDZIAŁ 2

Point Partageuse został nazwany na cześć francuskich odkrywców, którzy nanieśli na mapę przylądek w południowo-zachodniej części Australii na długo przed tym, zanim Brytyjczycy zaczęli kolonizować zachód, w 1826 roku. Od tamtej pory osadnicy wędrowali z Albany na północ i na południe z kolonii Swan River, roszcząc sobie prawo do napotykanym po drodze dziewiczym lasów. Wysokie niczym katedry drzewa ustąpiły miejsca pastwiskom. W leśnej głuszy powstawały prymitywne drogi, wyrąbywane kawałek po kawałku przez białoskórych mężczyzn, którym towarzyszyły zaprzęgi silnych, potężnych koni. Ziemia, która nigdy dotąd nie zaznała ingerencji człowieka, była wypalana i obdzierana ze skóry, oznaczana na mapach i mierzona przez tych, którzy postanowili spróbować szczęścia na półkuli, gdzie czekały na nich rozpacz, śmierć albo niewyobrażalne bogactwa.

Mieszkańcy Partaguese byli niczym drobinki kurzu na wietrze, które osiadły w miejscu, gdzie jeden ocean łączył się z drugim. To tu znaleźli wodę pitną, naturalny port i urodzajną

glebę. Tutejszy port nie mógł się równać z tym, który wybudowano w Albany, jednak wystarczał miejscowym do transportu drewna sandałowego i wołowiny. W okolicy, niczym porosty na skale, rozkwitały kolejne interesy. Niebawem w miasteczku powstała szkoła, rozmaite kościoły, domy z cegły oraz kamienia i kolejne z desek i blachy. Tuż po nich sklepy, ratusz, a nawet filia agencji rolnej Dalgety'ego. I puby. Mnóstwo pubów.

* * *

W początkowym okresie rozwoju miasta mieszkańcy Point Partageuse wierzyli, że prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej. Wieści ze świata napływały powoli niczym skapujące z liści krople deszczu — strzęp informacji tu, plotka tam. Po pojawieniu się linii telegraficznej w 1890 roku życie w miasteczku nabrało tempa, zwłaszcza gdy w nielicznych domach pojawiły się pierwsze telefony. W 1899 roku miasteczko wysłało swoje oddziały do Transwalu i straciło kilku mieszkańców, mimo to życie w Partageuse nadal płynęło spokojnie i leniwie: nie należało się spodziewać niczego wyjątkowo okropnego ani też cudownego.

Inne miasteczka na zachodzie postrzegały rzeczy zupełnie inaczej. Na przykład Kalgoorie, wybudowane setki mil od wybrzeża, z ukrytymi pod pustynią podziemnymi rzekami złota. Przybysze napływali do miasta uzbrojeni w taczki i sita, a wyjeżdżali samochodami, które kupili za bryłki złota wielkości kociąt. Nic dziwnego, że tamtejsze ulice nazywano imionami takich ludzi, jak mityczny Krezus. Kalgoorie miało to, czego pragnął świat. To, co mieli do zaoferowania mieszkańcy Point Partageuse — drewno sandałowe — było niczym w porównaniu